



Dawid Ladach

Powiedz TAK

Spis treści

Brzytwa.....	4
Wychowanie.....	10
Granice	11
Evil is easy	15
Słomiany list	18

Brzytwa

I

O czwartej nad ranem otworzył oczy. Nic nie wiedział – ciemność była absolutna. Zdawało mu się, że jest w niej zawieszony, w ciemności-pustce. On i nicość. Leżał nie ruszając się. Myśli przepływały wolno, leniwie – lekkie i niegroźne. Po kilku minutach poczuł, jak pustka wkrada się w niego, i nie spodobało mu się to. Szarpnął się i spuścił nogi z wąskiego łóżka, znajdując się w pozycji siedzącej. Nagły ruch przyniósł zawrót głowy. Przycisnął pięść do czoła i skrzywił się, zgarbiony i zagubiony. Po kolejnych minutach mózg dogadał się z błędniakiem, a Jacek sięgnął po leżącą na stoliku komórkę, wcisnął przypadkowy klawisz i spojrział na wyświetlacz. Oczy natychmiast wybuchły bólem, a głowa bez żadnych konsultacji odwróciła się od przykrego źródła światła. Dopiero po kilkunastu sekundach obcowania z wyświetlaczem Jacek otrzymał informację, że jest czwarta osiem. Nieźle, naprawdę nieźle, pomyślał, bo coraz częściej zdarzało mu się budzić o trzeciej albo drugiej w nocy, mając przed sobą samotną podróż przez noc.

Przeciągnął się i sięgnął po torbę leżącą przy łóżku. Wyciągnął z niej krede, zapalki i pięć grubych świec – każdą w innym kolorze: białą, fioletową, czerwoną, zieloną, czarną. Syknęła zadziwiająco długa zapalka – jakiś czas temu namoczona jego krwią i wysuszona tak, że nadawała się do użytku – którą je podpalił. Gdy świece płonęły, ustawił je i połączył kredą, tworząc pentagram, w którym każde ramię wieńczyła jedna ze świec. Znowu sięgnął do torby. Tym razem wydobył z niej książkę w dużym formacie, z dużą ilością stron, oprawioną w skórę. Zasiadł z nią po turecku w środku swojego dzieła, otworzył blisko środka i zaczął czytać. Litery migoczące w rytm tańczących płomieni świec składały się na dzieło o wymownym tytule „Jesteś synem Szatana?”. W odbiorcy, który zwiedzał karty tej książki traktującej o Księciu Ciemności, ale przede wszystkim o jego synu, egzystującym gdzieś na świecie nieświadomy swojej mocy, co rusz pojawiała się pytanie: „Może to ja?”. Jacek też je podświadomie zadawał – książka była bardzo sugestywna i uniwersalna, jak dzieło Kilgore Trouta przekonujące jednego z bohaterów „Śniadania mistrzów”, że wszyscy na ziemi są jedynie robotami, podczas gdy on jest jedynym człowiekiem z krwi i kości, z wolną wolą. Jacek odpowiadał sobie na zadawane w kółko pytanie: „Nie... ale...” To „ale” wyznaczało krąg jego życia. Było prawdziwym pentagramem.

Gdy słońce w całości wyłoniło się zza horyzontu, zamknął księgę. Kreda, zapalki, świece, książka wylądowały w torbie, a pentagram, przy pomocy ścierki, zamienił się w pozbawiony symboliki pył kredowy.

Słońce pięło się w górę, ptaki śmigały po gałęziach, a niebo było bezchmurne gdy ubrany schodził po schodach z piętra na parter. Przeszedł przez pokój swoich znajomych i wyszedł przed jednopiętrowy, drewniany domek. Ogarnęła go zieloność traw, świerków i tui. Jego prawa ręka bezwiednie powędrowała do ust i zaczęła je delikatnie trzeć. Był to nawyk

powstały tuż po rzuceniu przez Jacka palenia kilka dni po śmierci jego matki. Było to trochę dziwne, ale co tam, najważniejsze to nie palić. Jego matka nienawidziła papierosów. Mówiła, że to nie w porządku robić krzywdę swoim narządom: żołądkowi, płucom, sercu, trzustce, nerkom... – one tak się starają, żebyś mógł żyć, a ty co? Kłody pod nogi w postaci amoniaku, cyjanowodoru, chlorku winylu, acetonu... To była dobra i mądra kobieta.

Ziewnął. Pomyślał o śnie, ale wiedział, że nie czas na niego – ziewanie to w tej chwili jedynie list pożegnalny od niego. Senność nastąpi około piętnastej, a o szesnastej będzie można się zdrzemnąć. Lubił te około dwugodzinne drzemki, w których nie dręczyły go żadne zęby, pazury, krzyki, gonitwy... Jakże różny to był sen od tego, który odwiedzał go w nocy.

Nieco bezwiednie, głównie po to, żeby przerwać stagnację, ruszył przed siebie do stojącego z boku domku motocykla: Hondy Goldwing, wielkiej kanapy na kółkach stworzonej do dalekich wypadów we dwoje. Jacek dosiadł ją i chwycił za kierownicę, choć nie miał nawet prawa jazdy. Nie mógł go zdać przez doświadczanie chwilowych nieobecności. Zdarzało mu się podczas prowadzenia auta na chwilę mentalnie go opuścić, przenieść się w nicość. Chwilowe wyłączenie. Najwyżej kilka sekund, ale wystarczało, żeby zrobić coś nieprzepisowego na drodze.

Jacek powiedział, że nie będzie jeździł za kółkiem, a wszyscy myśleli, że nie chce narażać innych uczestników ruchu, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go to nie obchodziło. Chodziło o brak kontroli. Utrata kontroli to bycie na kolanach, to bycie na łasce innych, to utrata siebie – to niedopuszczalne.

Zsiadł z motocykla i podszedł do świerków. Przebił się przez nie i przywarł do drewnianego przęsła ogrodzenia, by spojrzeć na znajdujące się dwieście metrów dalej jezioro, w tej chwili jeszcze spokojne, dostojnie czekające na chmary turystów. Myślał o swoich znajomych, u których teraz mieszkał, o Kamili i Bartku. Mieli wiele motocykli, którymi zjeździli już całą Europę – widzieli nieporównywalnie więcej niż ja, myślał Jacek. Ich maszyny, podróże, domki rozsiane po całej Polsce, a oni zdrowi, tryskający energią, planujący dziecko... Zwiesił głowę i pozostał tak przez chwilę, aż krew uderzyła mu do głowy, spowodowała uczucie ciężkości. Zawrócił do domku, mimowolnie spoglądając na krąg piachu – wysepkę śmierci wśród morza traw. Przedwczoraj w tym miejscu paliło się ognisko. Byli znajomi Kamili i Bartka, kiełbaski, piwo, drinki, śmiechy, plany, opowiadki, plotki i wszystko, co przy ognisku ma miejsce, no, może prócz kilku rzeczy, na przykład gitary. Szkoda, że jej nie było – lubię ją, pomyślał Jacek, który, nawet bez gitary bawił się całkiem nieźle: słał uśmiechy, pił, uczestniczył w rozmowach, nawet opowiedział kilka żartów, niezbyt śmiesznych, ale były salwy śmiechu – przez alkohol albo z litości. Teraz, patrząc na krąg piachu, czuł jedynie smutek i gniew. Przyspieszył kroku i znalazł się w domku.

Podszedł do nóg łóżka znajomych. Kamila – niewysoka blondynka o kręconych włosach i małej twarzy – spała na lewym boku, zwrócona do Bartka, mężczyzny o posturze zapaśnika: wysokiego, o dużej masie, ale nie otyłego. Był silny, choć w ogóle nie ćwiczył. Kolejny dowód na to, że są szczęściarze i są szmaciarze, pomyślał.

– Mógłbym cię teraz zabić – powiedział cicho Jacek. – Ciebie i twoją żonę. Element zaskoczenia plus szybka ręka i by was nie było. Twoja postura i bogactwo byłoby jedynie dekoracją mojego dzieła.

Stał przed ich łóżkiem kilka minut, czując przeróżne emocje: gniew, podziw, wstręt, wdzięczność, agresję, rozczulenie. Nie obawiał się, że znajomi obudzą się i widząc go wpatrującego się w nich nabiorą podejrzliwości i wrogości. Nie, ci miłosierni samarytanie byli naprawdę bardzo miłosierni: nie mieliby do niego żadnych pretensji; rozumieli w jakiej sytuacji się znalazł: odejście żony, utrata pracy, próba samobójcza, śmierć matki i kłopoty z prawem przez bójkę w barze działały na ich wyobraźnię.

– Słodziutkich snów – powiedział i poszedł na górę. Zabrał plecak i się wyniósł.

II

Wysiadł z autobusu w mieście i poszedł w kierunku hotelu widocznego w oddali. Jego wzrok koncentrował się niemal wyłącznie na nim – Jacek był jak kot wpatrujący się w ofiarę, dla którego świat poza nią jest tylko pozbawioną szczegółów otoczką. Pokonawszy przeszkłone drzwi, przeszedł przez uważany przez siebie za banalny i ubogo urządzonej hall: kremowe, prawie nagie ściany, duże okna, dużo roślinności i kilka białych kanap z owalnymi stolikami – wszystko sprawiało wrażenie przypadkowego... A może o to chodzi?, pomyślał i podszedł do kontuaru wyglądającego na wykonany z ciężkiego drewna, zza którym stał młody mężczyzna w bordowym uniformie. Z wystudiowanym uśmiechem wysłuchał żądania gościa.

– Tak, mam coś dla pana – powiedział po chwili. – To nasz najtańszy pokój...

– Biorę – odparł Jacek, zapłacił sto pięćdziesiąt złotych, zameldował się i odebrał klucz ze staroświecką, charakterystyczną gruszką z wybitym u podstawy numerem. Wjechał na drugie piętro. Zmierzając po bordowej wykładzinie w owalne czerwone znaki, po swojej lewej i prawej mając kremowe ściany i drzwi, nad którymi zainstalowano małe lampki pomagające w odnalezieniu pokoju, czuł rozsadzające go podniecenie.

Wszedł do swojego pokoju. Skromnie urządzone pomieszczenie nie zachwyciło go ani nie odstraszyło – kompletnie go nie interesowało, w przeciwieństwie do urządzenia pokoju 303, wynajmowanego przez niego jakiś czas temu, w którym pozostawił swoje ślady, osobliwe prezenty. Wypalił w podłodze pod dywanem, w miejscu, w którym stoi tam łóżko, znak pentagramu, na zwieńczeniu każdej z jego ramion umieszczając ludzkie paznokcie. W rozprutym, a potem skrętnie zszytym materacu umieścił ciała pajaków i czerw, a także nieco wronich piór. Za lustrem w łazience namalował oko kocią krwią. Krzesła natarł owczym łojem. Wszystko to okraszył zaklęciami i rytuałem z użyciem świec. W tym pokoju zatrzymała się pięć dni temu młoda kobieta – wiedział to od przekupionego recepcjonisty. Po jej zameldowaniu się Jacek obejrzał ją sobie: leginsy opinające szczupłe proste nogi; koszulka podkreślająca wąską talię; ciemne, prawie czarne włosy; dobry makijaż na młodej, niespełna trzydziestoletniej twarzy. Była dla niego tylko zbiorem dobrze spełnionych kryteriów.

Dziś był jej ostatni dzień pobytu. Po pięciu dniach powinna zdradzać wpływ niezwykłego pokoju. Wystarczy znów ją obejrzeć – ten żywy miernik mocy – i ocenić, jak bardzo z nią źle.

Kilkanaście minut po przekroczeniu progu hotelu Jacek był pod numerem 303. Zapukał. Raz, potem drugi. Drzwi się niepewnie uchyliły.

– Tak? – zapytała kobieta. Była ubrana w gruby niebieski szlafrok i niebieskie kapcie.

– Przepraszam, czy u pani wszystko w porządku? – zapytał, łapczywie przyswajając każdy detal jej jestestwa.

– Tak, dlaczego pan pyta?

– Usłyszałem jakieś hałasy; myślałem, że dochodzą z pani pokoju.

– Nie, spałam, nic nie słyszałam. Może to gdzieś obok.

– Być może. W takim razie nie przeszkadzam. – Zaczął się już odwracać, gdy zagadnął jeszcze pełen uroku, ot tak, niby z niewinnej chęci przedłużenia konwersacji o drobne pytanie: – Przepraszam jeszcze, mogę zapytać, jak się tu pani śpi? Tak się zabawnie składa, że już dwa razy dostawałem ten pokój i za każdym razem dręczyły mnie tu koszmary.

– Koszmary? O, nie, wszystko w porządku. Mam twarde sen, to pewnie dla tego nie słyszałam hałasów.

– No tak, pewnie tak, przepraszam za obudzenie. Życzę miłego dnia.

– Nawzajem.

Drzwi się zamknęły. Jacek odszedł na kilka kroków i zatrzymał się. W szlafroku trudno ocenić, co z jej ciałem, ale twarz, twarz było widać. Opuchnięta, ale to od snu. I nie tak urodziwa jak wtedy, w pierwszy dzień pobytu, ale to przez opuchliznę i brak makijażu. Włosy w nieładzie, jakby w mniejszej objętości, ale to przecież przez poduszkę... Wnioski? Brak; oględziny odroczone.

Wrócił do swojego pokoju i położył się na wznak na łóżku. Oszołomienie nie pozwalało mu myśleć, a sen nie chciał zrobić wyjątku i przyjść dziś wyjątkowo wcześniej. Była szósta trzydzieści. Śniadanie dają tu o dziewiątej trzydzieści. On nie wykupił opcji śniadaniowej, ona tak. „Bardzo dobrze. Przed bufetem ją zobaczę. O ile będzie miała siłę tam dojść”. Z tą pocieszającą myślą sięgnął do plecaka po książkę, nie większą od zeszytu, w zwykłej tekturowej okładce. Na jej szczycie był tytuł: „Ciemność cię kocha”. Jacek nie mógł się na niej skupić. Wiercił się aż z książki wypadło zdjęcie jego żony.

Musiał się tu znaleźć po rzuceniu klątwy, pomyślał. W istocie, było to po tym, gdy Jacek nałożył na swoją żonę Dagmarę klątwę emocjonalną z wykorzystaniem swojego ulubionego symbolu – pentagramu. Zrobił to, by ją ukarać. Za to, że powiedziała mu, że jest w ciąży i chce dokonać aborcji. Jacek nie był zachwycony tym pomysłem, ale rozumiał żonę – była jeszcze młoda, robiła karierę w socjologii jako specjalista analizy rynku, nie czas było na potomka. Decyzja nie była jednak prosta, wszak chodziło o zabicie własnego dziecka, a więc coś, co położy się cieniem na całej reszcie jego życia – to było jasne. Niejasne było to, jak ciemny będzie ten cień i co da się w nim hodować. Miotał się z podjęciem decyzji, a Dagmara popadała ze skrajności w skrajność. Raz dziecko to był Boży dar – mówiła o cudzie narodzin; potem dziecko to było nieszczęście, taran, który zniszczy jej życie. Wreszcie, chcąc położyć kres tej piekielnej huśtawce nastrojów, Jacek wysłał ją z dziesięcioma tysiącami do dobrej kliniki. Kilka dni po jej wyjeździe dostał od niej papiery rozwodowe. Zdezorientowany dopiero po około miesiącu dowiedział się, co się stało: ciąża, uwiarygodniona czyimiś wynikami badań, to był tylko fortel do dręczenia go i wymuszenia pieniędzy, za które Dagmara zamiast skrobanki urządziła sobie wakacje.

Jacek czuł się jakby utracił połowę koncentracji, efektywności, zaangażowania... Nie musiał długo czekać na efekty: popełnił kilka błędów w dziale sprzedaży firmy odzieżowej, za które go zwolniono. Po kilku dniach życia bezrobotnego, wracając ze sklepu, sam nie widział kiedy zszedł z chodnika pod nadjeżdżający samochód. Nie stało mu się nic poważnego, ale za słabo ukrywał to, co zaszło, zwyczajnie nie mając na to sił – psychiatra w szpitalu orzekł, że Jacek próbował popełnić samobójstwo. Dowiedziała się o tym jego matka. Niedługo potem zmarła na zawał. Nie wiadomo, czy przez trudną sytuację, w której znalazł się jej syn, czy chodziło o coś zupełnie innego. W każdym razie Jacek wiedział swoje – do czary goryczy została dolana krew jego matki. Był pogrzeb, a po nim, jeszcze w tym samym dniu, bójka w barze z nieodpowiednim facetem. Wszystko się posypało.

W chwili dojmującej samotności zadzwonił do wróżki, której numer przypadkiem znalazł w jakiejś gazecie. Wyżalił jej się i dowiedział od niej, że ktoś nałożył na niego klątwę, możliwe, że Dagmara. W jego życiu pojawiło się zielone światełko. Jacek przeszedł rytuał oczyszczenia, a potem odplacił się żonie pięknym za nadobne. Za oszczędności wynajął kilku specjalistów i rzucił klątwę. Niestety nieskuteczną: Dagmara nadal kwitła u boku nowego partnera.

Schowwał na tyłach książki zdjęcie utrwalające szeroką twarz z ostrymi rysami, szeroko rozstawionymi oczami i wydatną szczęką – niekobiece oblicze, ale całkiem ładne, niebanalne na tyle, że Jacek zwrócił na nie uwagę w barze dawno temu, gdy życie nie miało nic wspólnego z płaską kupką kart. Wrócił do czytania, choć z każdą minutą coraz większy procent jego uwagi przenosił się do kanapy stojącej przed drzwiami bufetu. W końcu zdecydował się zasiąść na niej o ósmej pięćdziesiąt. Gorączkowo wgrzyzając się w twarze przechodniów, by nie przegapić tej, na którą czekał, poczuł ból górnej wargi. Na moment porzucił lustrację klientów hotelu i zbadał sprawę ust. Nie była to zagadką dla Sherlocka, mimo to Jacek przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wyciągnięta przed twarz dłoń, która przed chwilą pocierała jego wargę. Organizm błagał o nikotynę! Ale nic z tego, przecież mama, ona... ja nie mog... „Ludzie!” – pomyślał i wrócił do przyglądania się mieszkańcom czterogwiazdkowego hotelu.

O ósmej piętnaście ją zobaczył. Jego wzrok poraził przeraźliwie żółty sweter. W jego sile ogrzewała się jej twarz z nienagannym makijażem, okalana włosami o niezwyklej objętości, lekko unoszącymi się i opadającymi z subtelnością czulego muśnięcia warg. Obejrzał się za nią, gdy wchodziła do bufetu; jej obcisłe dżinsy i tenisówki dodawały jej młodzieńczego uroku. Wstał i poszedł przed siebie. Otumaniony zabrał z pokoju plecak, wymeldował się i wyszedł z hotelu. „Niemożliwe, niemożliwe...” – powtarzał w myślach.

III

Jego następnym przystankiem była opuszczona, jednopiętrowa kamienica z towarzyszącą jej tablicą: GROZI ZAWALENIEM. Jacek przeszedł przez dziurawe jak szwajcarski ser ogrodzenie i wszedł do budynku przez nieregularny otwór będący pozostałością po znajdującej się w nim kiedyś futrynie z drzwiami. Od razu natknął się na

bezdomnego, około pięćdziesięcioletniego brodacza zawiniętego w stos szmat, emanującego aureolą smrodu. Zdawał się być nieprzytomny, zapewne z niedożywienia i procentów harcujących w jego sponiewieranych narządach.

Jacek kopnął go w miejsce, gdzie powinny znajdować się jego żebra. Poczł się jakby wymierzył cios miękkiemu walcowi amortyzującemu uderzenia. Przeskoczył go na sprężystych nogach, w obecności bezdomnego czując się silnym, pełnym możliwości i przyszłości. Raźnym krokiem zbiegł po schodach, nad którymi, między ścianami pokrytymi bohomazami uwłaczającymi grafity, unosiło się uperfumowane uryną powietrze. Potem pomaszzerował wąskim korytarzem co rusz wysuwającym w jego kierunku opuchły i popękany jęzor z cegły, aż znalazł się przy solidnym wejściu z grubych desek zabezpieczonym kilkoma kłódkami dobrych firm. Jacek otworzył drzwi własnej konstrukcji i wszedł do największego pomieszczenia w piwnicach umierającej kamienicy.

Przywitał go, jak zawsze, smród wychylający swoje obrzydliwe oblicze zza maski zapachu z cytrynowego odświeżacza powietrza i ciche brzęczenie zbliżone do dźwięku skrzydeł owadów. Jacek zamknął za sobą drzwi i wszedł w nakreślony na podłodze krwią pentagram, w którego środku stało krzesło z przykutym do niego nagim mężczyzną. Z głową opuszczoną na klatkę piersiową więzień zdawał się spać albo kontemplować z bliska symbole powstałe na jego piersiach przez przypalenie ich rozgrzanym żelazem, polewanie kwasem, nacinanie ostrymi narzędziami i uderzenie tępymi przedmiotami.

Jacek wyjął z plecaka butelkę i oblał znajdującą się w niej wodą przykutego mężczyznę. Życiodajny płyn spłynął po ogolonej głowie więźnia, jego skroniach i pozacinanych od golenia policzkach, najpierw ściekając ciurkiem, potem jedynie kapiąc na betonową podłogę. Krystaliczny dźwięk wody i łacińskie szemranie płynące z głośników rozstawionych w kątach pomieszczenia, nieustannie sączących cichą modlitwę, na chwilę w pełni opanowały boks piwnicy. Zagłuszyło je dopiero szurnięcie i cichy, głuchy dźwięk uderzenia buta o piszczel.

Jackowi zaczęło brakować tchu, i to wcale nie przez duszący zapach kału i cytryn, ale przez wynik, jaki dawały poczynione przez niego obserwacje: brak reakcji przykutego mężczyzny na wodę i ból, a także sinoczerwone zabarwienie jego pośladków i ud oraz szarość pozostałych partii skóry – kolory, w jakie lubiła stroić się śmierć.

– Co jest gnoju? – Jacek obszedł więźnia i dotknął jego pleców – zimnych i sztywnych. – Nie, nie rób sobie jaj! Nie żyjesz, gnido?! Ty parszywa gnido! – wrzeszczał wśród ścian wygłuszonych paletami od jajek.

Położył na tysej głowie nagiego mężczyzny dłoń i pchnął ją przed siebie, odsłaniając twarz przyglądającą się mu z na wpół otwartymi oczami lalki – suchymi, z zastygłymi źrenicami. Spoliczkował swojego więźnia, a potem przyłożył palce do tętnicy szyjnej, w której już od kilku godzin nie mieszkał puls.

– Ty zawszony, niewdzięczny skurwysynu! Miałeś być medium! Taki awans społeczny, a ty co? Tak się odwdzięczasz? – Kopnął go w klatkę piersiową. Mężczyzna poleciał jak kloc drewna do tyłu, odsłaniając stojące pod krzesłem wiaderko z nieczystościami i swoje nagie pośladki widoczne przez otwór w siedzisku krzesła. – Wszyscy jesteście tacy sami: zawszeni, brudni i bezużyteczni.

Chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu po prawej. Przez moment, patrząc na leżące na blacie amulety, narzędzia, jedzenie, odświeżacze powietrza, leki psychotropowe, książki... nie wiedział, co ma zrobić. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że powinien albo zabrać stąd wszystkie swoje rzeczy, albo pozbyć się ciała, np. przez rozczłonkowanie go. Chwytał w dłoń opalarkę – męską odpowiedniczkę suszarki. Ciężyła mu nadmiernie, a jego palce rwały się do rozwarcia uścisku jakby chwytały coś trującego. Odłożył narzędzie i wyszedł z boku piwnicy, zamykając za sobą drzwi jedynie na jedną kłódkę.

Przy wyjściu z kamienicy zrobił duży krok i zostawił za plecami bezdomnego. Już miał się od niego oddalić, gdy poczuł, jak jego dłoń chwyta go za lewą kostkę. Z panicznym obrzydzeniem uwolnił się z uścisku, spazmatycznie podrygując uwięzioną nogą, lewie uchroniając się od upadku na dywan z niedopałków i kolorowej tłuczki butelek tanich trunków.

– O co ci chodzi?! – ryknął, jednocześnie widząc w dłoni brodacza zmiętą paczkę papierosów.

– Ognia, człowieku – wychrypiał leżący. Jacek spojrzał na niego bez wyrazu, po czym podeszwą buta przygniótł jego nadgarstek trzymający złoty skarb – żółte pudełko Cameli. Brodacz zacharczał coś z bólu i gniewu, a Jacek chwycił z imponującą szybkością łup i równie szybko opuścił kamienicę. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazł kogoś, kto pożyczył mu zapalniczkę. Zapalił papierosa, usiadł na środku chodnika i palił.

Wychowanie

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym pod Urzędem Miasta. Chłopiec, czekając aż mama załatwi swoje sprawy, garbił się na przednim fotelu pasażera i nerwowo skubał szew spodni. Radio było włączone – nadawało popołudniowe wiadomości. Chłopiec nie słuchał go jednak; zamiast tego zastanawiał się, czy słucha go jego ojciec. Rozwahał to z powodu pęczniejącego w jego głowie pytania, z chwili na chwilę stającego się coraz większym, przesłaniającym wszystko inne. Ściszę radio i zapytam – myślał. To było ryzykowne, bo ojciec mógł zdenerwować się nieco i zbyć pytanie warknięciem albo jakąś inną dezaprobatą. Musiał jednak zaryzykować – pytanie bowiem wydawało się tak ważne, że niezadane właśnie teraz groziło jakąś katastrofą, może nawet sprawieniem, że wszystko w jego życiu nie stanie się na czas, przez co będzie bez smaku jak potrawa pozbawiona przypraw.

Dłonią przed chwilą skubiącą spodnie sięgnął po pokrętko głośności radia i przekręcił je, uciszając głos jakiegoś redaktora. Ojciec zareagował powoli. Wyprostował się i przeniósł wzrok ze znajdującej się tuż przy nim bocznej szyby w przestrzeń między radiem a jego synem. Zamarł, zdając się wyostrzać zmysły, czekając na rozwój wydarzeń, które pozwolą mu rozeznąć się w sytuacji.

Jego syn nabrał odwagi i powietrza w płuca, po czym wyrzucił z siebie: „Kiedy będę dorosły?”.

Ojciec przeniósł na niego wzrok i zapytał, dlaczego go to interesuje.

Jego syn, przerażony tym, że zapytał nie do końca o to, co chciał wiedzieć, zaczął opowiadać o sytuacji w szkole, która go zaintrygowała. Miał nadzieję, że opowieść zaprowadzi go do pytania, które chciał zadać, a które było schowane gdzieś w nim, tuż poza zasięgiem. Mówił o pani nazywającej go i innych uczniów w jego klasie dziećmi i o tym, że podobno za jakiś czas to się zmieni, bo on i jego rówieśnicy staną się nastolatkami, a później dorosłymi.

Opowiadanie pomogło – wpadł na właściwe pytanie i zadał je: „Kiedy chłopcy stają się mężczyznami, a dziewczyny kobietami?”.

Ojciec spojrział na niego uważnie, marszcząc brwi. Rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje, potem wyłączył radio i zaczął: „W szkole odpowiedzą ci na to co innego, ale zrobią to, bo tak wypada... – Zmierzył wzrokiem ośmioletniego syna. – Może jesteś na to za mały, a może nie; może na prawdę nikt nie jest za mały. Widzisz, kobietą jest się wtedy, gdy urodzi się dziecko” – powiedział i zamilkł.

Jego syn z napięciem czekał na część odpowiedzi najbardziej go interesującą. Gdy już wydawało mu się, że nie nadejdzie, ojciec powiedział spokojnie, jakby mimochodem: „Chłopiec staje się mężczyzną po zabiciu kogoś”.

Granice

*Malwinie, Dominice
Piotrowi, Łukaszowi
poświęcam*

To wydarzyło się na przestrzeni zaledwie dwóch dni. Mój świat był poukładany, znany, słowem – oczywisty, a tu nagle coś takiego. Pierwszy raz zetknąłem się z tym w sobotę, która niemal do siedemnastej nie wyróżniła się niczym szczególnym: podczas zajęć i przerw na uczelni udzielałem się w dyskusjach, żartowałem, śmiałem się i czułem dobrze. Aż do zakończenia wykładów.

Gdy znalazłem się przy głównym wyjściu z uczelni i pożegnałem Dominikę z Piotrem, jak zwykle zacząłem czekać w pobliżu szatni na Malwinę, koleżankę, z którą wracałem do domu pociągiem. Po chwili czekania postanowiłem skorzystać z toalety znajdującej się kilkanaście kroków od szatni, tuż za bufetem.

Poszedłem. Przechodząc obok bufetu zdziwiłem się – był otwarty. O tej porze zawsze był zamknięty na cztery spusty, a za przeszklonymi drzwiami wisiała nieprzyjemna szara zasłona. A tu nagle drzwi stały otworem.

Zajrzałem do środka i zobaczyłem, że jest się w nim tylko sprzedawca, z którego ja i inni studenci lubili sobie żartować. Nazywaliśmy go różnie, ale ostatnio w modzie był Posepny Szynek. Stał za ladą z rękoma założonymi za plecami i wpatrywał się we mnie. Zupełnie siwy, z krótkimi, sterczącymi w górę włosami, z małymi okularami w srebrnych oprawkach, o pucułowatej twarzy z obwisłymi i niedogolonymi policzkami, w białej koszuli, grubo po czterdzieście albo nawet po pięćdziesiątce wpatrywał się we mnie wzrokiem kogoś, kto na mnie czekał.

Nie poczułem się zaniepokojony. Jego wzrok i bufet otwarty o tej porze był czymś niezwykłym, ale od dłuższego czasu pan Posepny wydawał mi się dziwny, więc uznałem, że wszystko jest jak najnormalniejsze, podczas gdy to, co normalne kończyło się tuż przed progiem bufetu.

Widok jedzenia spoczywającego za przeszkloną ladą uświadomił mi, że jestem głodny. Wszedłem. Przeszedłem między rzędem stolików z okrągłymi blatami i zbliżyłem się do kontuaru. Poszperałem w portfelu, szukając drobnych, potem poprosiłem o kawałek jakiegoś ciasta, a gdy siwy sprzedawca nie zareagował, spojrzałem na niego.

Spojrzałem mu w oczy.

W jednej chwili poczułem dojmujący chłód, jakbym znajdował się gdzieś na otwartej przestrzeni, nie w przytulnym bufecie, i jakby to nie był maj, ale mroźny styczeń. A wszystko przez jego wzrok, który natarczywie, drapieźnie wbijał we mnie coraz głębiej i głębiej...

Chciałem na niego nie patrzeć, ale wśród dojmującego przerażenia poczułem w sobie coś, czego bym się nie spodziewał – fascynację. Wpatrywałem się w jego hipnotyczne oczy, co rusz zmieniające kolor, urzeczony, jednocześnie czując, że coś jest we mnie, coś, a może ktoś – on, dotykający swoimi grubymi, krótkimi palcami mojej ulubionej zabawki w dzieciństwie – policyjnego radiowozu. Niemal widziałem, jak podnosi go z dywanu w różę, przybliża do twarzy, żeby mu się przyjrzeć, a potem starannie odkłada. Następnie przechodzi kilka kroków, uśmiecha się drapieźnie i otwiera szufladę w komodzie. Gdy to robi, nie jestem już dzieckiem, ale nastolatkiem, a w komodzie trzymałem...

– Idziesz, czy nie? – usłyszałem ostre pytanie za swoimi plecami i odruchowo się odwróciłem. Nie rozumiałem za bardzo, co się stało. Droga od lady do drzwi wyjściowych bufetu wydłużyła się z dziesięciu metrów do stu; okrągłe stoliki przybrały kształty elips.

– Dawid, mówię do ciebie. – Jeszcze raz ten głos, tyle że ostrzejszy.

Oczywiście, to była Malwina. Uśmiechnąłem się i, bojąc się odwrócić, pijanym krokiem zacząłem iść przed siebie. Gdy zacząłem to robić, bufet zaczął wracać do swoich normalnych rozmiarów.

– Zaraz ucieknie nam pociąg – powiedziała, a jej twarz wyrażała bezdenną pretensję.

– Idę – wyksztusiłem i poszliśmy.

W drodze na peron Malwina kilka razy zapytała mnie, co zaszło w bufecie. Odpowiadałem wymijająco, a ona raczyła mnie swoim szczególnym uśmiechem, z którego dało się wyłowić ciekawość, pewność siebie, zrozumienie, a także troskę i możliwość ofiarowania pomocy w każdej chwili. Przyznaję, że takiego uśmiechu u nikogo jeszcze nie widziałem, i to chyba przez niego czasami źle mi było w towarzystwie Malwiny, ale bez niej było jeszcze gorzej.

Ostatecznie nie powiedziałem jej co stało się u Posepnego Szynekara. Teraz, gdy to piszę, wydaje mi się to niewiarygodne, ale już w pociągu, kilkanaście minut po niecodziennym doznaniu, zapomniałem o nim. Niedawno przejrzałem kilka książek z psychologii, z których dowiedziałem się, że moja „amnezja” była najprawdopodobniej wyparciem.

Myślę, że to może być prawda. Tak czy siak, w pociągu znowu poczułem się normalnie, a podróż była podobna do innych powrotów z uczelni. Najpierw pośmiałem się z Malwiną, rozmawiając na jakieś poważne tematy traktowane błaho, by potem mówić o nich na serio, i skończyło się tym, że Malwina obraziła się na mnie, ja ją przeprosiłem, pogodziliśmy się, a potem było miasto, w którym ona mieszkała, więc wysiadła, a ja w półśnie dotarłem do Wejherowa i poszedłem do mieszkania siostry. Potem zabawa z siostrzenicą, a wieczorem kilka wypitych drinków i obejrzany średniej klasy film, który nie przypadł mi do gustu. Wszystko było tak jak zawsze i byłem z tego bardzo rad, jednak jutro trzeba było znów pojawić się na uczelni, w której był ON.

Przed snem, gdy część niezwyklego wspomnienia przebiła się do mojej świadomości, postanowiłem po prostu omijać szerokim łukiem bufet, po czym zasnąłem spokojny. Nazajutrz równie spokojny wstałem skoro świt, pokrzątałem się po mieszkaniu siostry, po czym wsiadłem w pociąg i pojechałem na uczelnię. Gdy rankiem wszedłem do sali, w której mieliśmy tego dnia zajęcia, zastałem w niej Angelikę, Justynę i Dominikę, która na mój widok odwróciła się do mnie frontalnie i uśmiechnęła. O, lubiłem, gdy to robiła. W takich

chwilach zawsze przelatywała przeze mnie myśl szybka jak błyskawica, jasno stwierdzająca, że Dominika to wspaniała osoba, delikatniejsza niż niemal wszystkie dziewczyny jakie znam, tak bardzo delikatna, że żeby nie zginąć w twardym świecie zakłada maskę wrednej, zadziornej suki.

Usiadłem obok niej i pomyślałem, że gdybym jej to powiedział, usłyszałbym tak szczere zaprzeczenie, że uwierzyłbym w nie. A potem zaczęli przychodzić inni, zaczęły się zajęcia i nawet Piotr spóźnił się o kilkanaście minut, jak to miał w zwyczaju, robiąc sobie wielkie wejście, jak to określaliśmy.

Wszystko szło dobrze, aż wreszcie padło wyczekiwane przeze mnie pytanie. Dominika zapytała mnie, czy pójdę z nią do bufetu. Powiedziałem, że nie, ale zrobiłem to tylko po to, żeby mnie „zmusiła”, żebym miał wątpliwe usprawiedliwienie na swoje nieodparte uczucie ciekawości.

– Przecież masz to w kontrakcie – rzuciła dobrze mi znanym żartem, a ja oczywiście poszedłem.

Poszedł też Piotr, więc pomyślałem, że coś złego może mi się stać w takim towarzystwie?

Bufet wyglądał zwyczajnie. Choć dokładnie przyglądałem się każdemu z kątów, nie zauważyłem nic odbiegającego od normy. Posępny Szynek też był normalny, nie zdawał się na nikogo czekać, krzątał się, obsługując klientów.

Staliśmy w kolejce. Z każdym krokiem przybliżającym mnie do lady miałem coraz większe trudności z oddychaniem, co zrzuciłem na karb nerwów.

Wreszcie przed ladą stanęła Dominika. Obserwowałem czujnie i ją i Posępnego, i wtedy stało się. Jakiś błysk w jego oku, jakieś rozmarzenie na jej twarzy. Wszystko to trwało tylko sekundę, ale ja wiedziałem, że dokonało się „to”. Potem to ja stanąłem przed ladą. Nagle poczułem się zupełnie samotny wśród tłumu ludzi w bufecie, zupełnie bezbronny. Położyłem przed sobą pieniądze i wskazałem palcem paczka, nie mogąc wyksztusić ani słowa. Posępny Szynek podał mi go, a przy wydawaniu reszty nieznacznie nachylił się nade mną i szepnął dwa słowa: „Jestem klaustrofobem”.

Odszedłem od lady na nogach z waty. Cóż miały znaczyć te dwa słówka?! Po co on mi to powiedział?! Błędnym wzrokiem wyłowiłem z tłumu Dominikę i podszedłem do niej.

– Co ty tam zrobiłaś z nim przy ladzie? – zapytałem jak w gorączce.

– O co ci chodzi? – zapytała i gniewnie zmarszczyła brwi.

Potem przyszedł Piotr, roześmiany i tryskający energią, a ja pomyślałem, że mu nic nie grozi, bo ma bardzo spójną wizję siebie. Jest osobą wierzącą, o poglądach skrajnie konserwatywnych, które pozwalają mu bez mrugnienia oka prawić o nawet najbardziej kontrowersyjnych kwestiach. Dla mnie jego poglądy wydawały się niewłaściwe, ale kto wie, może gdy będę starszy... Nie, w takich chwilach zawsze mówiłem sobie nie i myślałem, jak to możliwe, że najzabawniejszy facet jakiego znam, do tego inteligentny, ma takie poglądy. Niemniej bardzo go lubiłem, a w tej chwili nawet zazdrościłem mu jego światopoglądu będącego mu tarczą na wzrok Posępnego Szyneka.

Dominika do końca dnia nie wspomniała słowem wizyty w bufecie, ale ja wiedziałem, że miała na nią jakiś wpływ. Była zbyt cicha i zamyślona jak na siebie, przez co nabrałem

pewności, że podczas spotkania z Posepnym Szyńkarzem wydarzyło się „coś”. Niemniej reszta zajęć minęła spokojnie.

Gdy wieczorem szliśmy w stronę wyjścia z budynku uniwersytetu, Malwina odbiła w stronę toalety. Po chwili zrobiła to również Dominika. Przy szatni przystanąłem z Piotrem. Rozmawialiśmy o jakiejś lekturze, którą powinniśmy przeczytać na zbliżające się zajęcia, gdy zrozumiałem, że Dominika wcale nie poszła do toalety, lecz do bufetu; że ten błysk w oczach Posepnego Szyńkarza to było zaproszenie...

Pobieglem. Kilkanaście sekund później stanąłem w drzwiach bufetu i zobaczyłem, że dochodzi tam do „tego”. Krzyknąłem, ale nie miałem tak ostrego i stanowczego głosu jak Malwina, więc nic nie działo. Chciałem dać kilka susów, doskoczyć do Dominiki i uratować ją, ale bufet znów zaczął rozciągać się jak guma, a ja, mimo że biegłem co tchu, nie byłem w stanie zbliżyć się do Dominiki, będąc wciąż o dziesięć metrów od niej. Mogłem tylko patrzeć na to, co się działo.

Posepny Szyńkarz wlepił w nią swoje ślepie mieniające się kolorami, o których istnieniu nie miałem pojęcia, wświdrowując się nimi w nią coraz dalej, głębiej, szybciej. Proces ten wydzieliał jakąś energię, produkt uboczny, jak dym podczas spalania, udzielający się także mi. Widziałem sceny z życia Dominiki będące jak kilkusekundowe wycinki z filmu. Widziałem spadające na jej udo rozgrzane żelazko, jej wypadek rowerowy, przez który złamała rękę, jej dom na skraju lasu, z którego... on ją wyprowadzał. Widziałem to dokładnie! Wyprowadzał ją z jej własnego domu, tak dobrze jej znanego, do mniej jej znanego ogrodu, by zaprowadzić ją w jeszcze mniej znany przez nią las, a potem na polanę, a potem na pola niekończące się aż po horyzont i dalej, dalej, dalej. Wreszcie ją zostawił.

Bufet przyjął swoje zwykłe wymiary, przez co mogłem podbiec do Dominiki. Było już jednak za późno. Leżała na plecach, jej twarz wyrażała dogłębne zdziwienie, jej oczy były zamglone. Żyła, ale była nieobecna. Próbowałem ją ocucić – bezskutecznie.

– Ach, wy, wiecznie poszukujący – powiedział z pogardą Posepny Szyńkarz.

Chciałem na niego spojrzeć, ale odwracając się od twarzy Dominiki zobaczyłem kogoś stojącego w progu bufetu. To był Łukasz, najinteligentniejszy facet jakiego znam, który byłby prorokiem, ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcia. Powiedział:

– Żadnego końca nie będzie. Żadnego końca nie będzie.

Evil is easy

Karol nigdy nie zastanawiał się nad tym, co oznacza sprawiedliwość, w jakie relacje wchodzi ze złem i dobrem, w jakim stopniu jest magiczną różdżką, od której ruchu zależy być albo nie być czegoś lub kogoś. Co prawda słyszał o eutanazji, aborcji, wiedział, że to są tematy-skarbonki, do których każdy lubi wsadzić swoje pięć gorszy – na to nikomu nie brakuje drobnych – ale one go nie obchodziły, tak jak drobniaki. Należał od ludzi, którzy nie zawracali sobie głowy bzdurami, lecz od razu sięgali po groch.

Pewnego letniego dnia wyszedł z domu z pełną kieszenią grochu i z jasno sprecyzowanym celem: wyrównaniem rachunków. Idąc przez późny wieczór, bardzo szybko przechodzący w noc, słyszał tarcie o siebie nogawek swoich spodni w akompaniamencie gry świerszczy ukrytych w wysokiej trawie pól. Jego serce przyśpieszało i zwalniało, w zależności od jego pewności, raz rosnącej, raz malejącej. Ku swojej ucieście, w klatce piersiowej o wiele częściej czuł miarowe stukanie, tylko od czasu do czasu rejestrując łomot będący efektem panicznej krzątaniny serca. Spokój nie brał się znikąd. Karol znał dobrze stajnie, do której zmierzał, jej obejście, wszystko przemyślał, miał plan, prosty plan, a więc z gatunku tych najlepszych.

Po kilkunastu minutach marszu nieużytkami w postaci pól i zagajników dotarł do terenu Majkowskich, właścicielei dwunastu koni. Omiótł wzrokiem sporą posiadłość z klepiskiem przeznaczonym do jazd dla turystów, długą, ceglana stajnią, jednoparterowym domkiem i szopą, przy której budy miały dwa psy: dog niemiecki Kaduceusz – olbrzym, który wyglądem osiągał to, co za pomocą wzroku czyniła Gorgona – i kontrastujący z nim bulterier Igła. Oba były umaszczenia czarno-białego. Mieszkały przy szopie Majkowskich, by interweniować na wypadek gdyby dzieciaki turystów po kilku łykach czegoś mocniejszego wpadły na pomysł, żeby urządzić sobie nocną przejażdżkę na pożyczonych koniach. Obawy tego typu były uzasadnione, bo trzy lata temu czterech pijanych nastolatków włamało się do stajni w absurdalnym celu nakarmienia końmi cukrem, co skończyło się spłoszeniem zwierząt i złamaną nogą klaczy Matylidy. Od tamtej pory stajnia Majkowskich została wyposażona w solidniejsze drzwi, a jej okna zaczęły chronić kraty, do tego kupiono Kaduceusza i Iglę.

Karol znał te psy – zaprzyjaźnił się z nimi będąc chłopcem stajennym, śmierdzącym łajnem popychadłem zawsze pracującym niewystarczająco dobrze, zawsze z którymś ze swoich atrybutów: widłami, wiadrem, zgrzebłem, czasami lonżą. Teraz, stojąc przed terenem Majkowskich, otoczonym wysokim płotem z szerokich sztachet, nie był już poganianym gnojkiem, chłopaczkiem pracującym za kurtyną życia, by ci stojący przed nią mogli się dobrze bawić; teraz był myśliwym z nabojami z grochu. I z jeszcze czymś: kielbasą z odpowiednią przyprawą – trutką na szczuty działającą tuż po jej spożyciu.

Cmoknął na psy. Te zastrzygły uszami i ruszyły z gardłowymi pomrukami w stronę niepokojącego ich dźwięku, by po rozpoznaniu człowieka ich przywołującego zacząć machać ogonami. Kaduceusz i Igła odpowiedzieli na pocałunek śmierci.

Po nakarmieniu psów przez godzinę przebywał w zagajniku w pobliżu swojego celu – stajni, czekając aż czas dokończy jeden z etapów jego planu. Gdy wrócił pod płot Majkowskich i znów cmoknął – żaden z psów się nie pojawił. Dla pewności cmoknął jeszcze kilka razy – nadal nic. Cisza, przesywająca i brzemienna w grozę dla kogoś o niekarolowym sercu, dla Karola była niebiańską muzyką, drzwiami otwierającymi mu drogę do sprawiedliwości.

Podszedł do okna stajni i wyciągnął wcześniej własnoręcznie obluźwane cegły przytrzymujące kratę, którą chwilę potem wyjął. Jeszcze tylko szyba, ostatnia bariera... Wyciągnął latarkę, nóż i taśmę izolującą. Ciął ją na półmetrowe paski i przyklejał na szkło, przyświecając sobie trzymaną w zębach latarką. Obkleił nimi całą szybę – pasek zachodził na niej na pasek. Potem postukał w nią nasadą noża. Ostatnia bariera oddzielająca zabójcę psów od stajni popękała cicho, po czym delikatnie, niczym mdlejąca kochanka, osunęła się w jego ręce.

Z okna stajni zaczął wionąć delikatny zapach obornika, amoniaku i jeszcze czegoś, czegoś nieuchwytnego, charakterystycznego – zapach konia. Dla miłośników jazdy konnej był on często czymś wzniosłym, nawet majestatycznym, w każdym razie niemal zawsze czymś miłym, Karolowi jednak kojarzył się z harówką, poniżeniem i oszustwem.

Podciągnął się na betonowym parapecie, potem przykucnął na nim i, chwytając dłońmi szczytu wybitego okna po stronie wnętrza ceglanego budynku, przełożył nogi za parapet, zsunął się lekko i z cichym szmerem postawił stopy na kafelkach w stajni. „Jestem” – pomyślał nieco nieprzytomnie z podniecenia.

Konie stojące blisko wybitego okna zauważyły intruza – kilka z nich zwróciło się w jego stronę, otworzyło pyski i podwinęło górną wargę, by lepiej wyczuć nowe zapachy przyniesione przez niespodziewanego nocnego gościa. Kelvin rozpoznał stojącego przy nim człowieka i kilkakrotnie parsknął na niego przyjaźnie. „Ja też się cieszę, że cię widzę” – powiedział Kuba, po czym przeszedł się korytarzem, otwierając wszystkie napotkane po drodze boksy, będąc bacznie obserwowanym przez wysoko uniesione końskie łby, które jawiły mu się w słabym świetle latarki jako zaciekawiona jego działaniami publika. Gdy stanął przy wejściu do stajni, uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni. „Mam coś dla was” – powiedział z krwią huczącą mu w skroniach, każącą mu się postarać, bo miał przed sobą ważny występ.

Wypuścił z płuc powietrze i wszedł do boksu po lewej, do ciemnokasztanowatej młodej klaczy Ariadny, która pochyliła się nad nim i wysunęła do przodu uszy, wyraźnie zainteresowana tym, co się dzieje. Kuba pogłaskał ją po pysku, a potem zwinnym ruchem wrzucił do jej ucha ziarno grochu. Nie czekał na reakcję – czekanie było dla niego zbędnym luksusem. Chwycił się jednego z trzech drążków biegnących nad sięgającą dorosłemu mężczyźnie do piersi ścianą boks, podciągnął się na nim, przełożył przez niego nogę i zwinnie znalazł się w zagrodzie Dagmary. Gniadej klaczy jednak w niej nie było – zdążyła już wyjść na korytarz, korzystając z niespodziewanie podarowanej wolności. Kuba przeskoczył więc do kolejnego boks, gdzie zastał Wenus – najspokojniejszą klacz w stajni, ulubienicę dzieci w ośrodku hipoterapii, z którym Majkowsky współpracowali poza okresem wakacyjnym, gdy nie oferowali turystą konnych przejażdżek i nauki jazdy konno.

Wenus stała zeszywniała, wymachując ogonem i wysoko uniesioną głową. Kuba wiedział, co to znaczy – klacz była zaniepokojona rumorem mającym miejsce przy drzwiach wejściowych do stajni... „Nie bój się, ty...” – nie dokończył; zacisnął zęby i uderzył Wenus z otwartej dłoni w szczyt głowy, sprawnie przemycając ziarno grochu, trzymane przed momentem między palcem wskazującym a środkowym, do jej lewego ucha.

Zanim uciekł oknem, udało mu się skazać na śmierć kasztanową klacz, której imienia nie pamiętał, i stawiającego opór ogiera Kelwina, który próbował go kopnąć, wierząc się w swoim boksie jak opętany i wierzgając na wszystkie strony kopytami.

Gdy Karol znalazł się poza stajnią, jego serce wyrwało się spod rygoru racjonalności – pogalopowało jak szalone, zmuszając go do dzikiej ucieczki. Przeskoczył płot, wkładając w tę czynność zdecydowanie więcej siły niż było trzeba, przez co przeleciał pół metra nad nim, a po lądowaniu poczuł ból w prawym bicepsie (przez przesadne wyrzucenie ciała w powietrze prawą ręką) i w prawej kostce (przez niezgrabne lądowanie). Nie zwrócił na to uwagi i pognął przed siebie, by po dwustu metrach przewrócić się w wysokiej, pożółkłej od upałów trawie, dyszeć, ocierać z czoła pot i próbować pozbierać myśli. „Czy wszystko zrobiłem tak, jak trzeba?” – to było najważniejsze pytanie, które wyłaniało się z chaosu w jego głowie, świeciło niemal jak mający własne zasilanie neon na pozbawionej centralnego zasilania ulicy. Karol miał na nie odpowiedź – brzmiała „Tak”. „Tak, tak, tak!!! Kurwa!!!”. Udało się! Plan się powiódł.

Przetrawił najpierw chaos, potem euforię, aby zastanowić się, co słyszał podczas swojej szaleńczej ucieczki. „To naprawdę było to?” – zapytał się po chwili. To, czyli opętane rzenie koni i tępe dźwięki uderzania czegoś ciężkiego o coś twardego, odgłosy rozłupywania, pękania, a może nawet wybuchania czegoś. Czy naprawdę to słyszał...? Może tak, a może nie, to nie było dla niego teraz zbyt ważne, bo teraz najważniejsza była doznawana przyjemność (w końcu dla niej ułożył genialny plan i – „Tak, tak, tak!!! Kurwa!!!” – genialnie go wykonał). Brała się z fantazji powstałej na podstawie słyszanych dźwięków (realnych albo urojonych). Polegała na widzeniu oszalałych koni, stojących dęba, rżących z całych sił, wywracających ślepiami połyskującymi w ciemności, walących łbami o boksy i kafelkową posadzkę, wpadających na siebie w zaślepieniu z przerażenia i łamiących sobie przez to nawzajem nogi. Stajnia Majkowskich stała się w umyśle Karola wypełnioną ciemnością mordownią z końmi złączonymi w ciemną, niekształtną i podrygującą masę. Masę będącą dziełem siewcy śmierci, anioła zemsty, genialnego stratega, który po nasyceniu spragnionej frenezji wyobraźni wstał z pożółkłej trawy i pogwizdując powędrował powoli w kierunku domu.

Słomiany list

Nie żegnano mnie i tym razem alkoholem i młodym ciałem dostępnym za pieniądze niczym mięso psujące się za przezroczystą szybą. Wszystko stało się za szybko, z pośpiechem ruchów tonącego, szybkością wyciąganego rewolweru w westernie albo kota rzucającego się na mysz. Jeszcze wczoraj zjawiłaś się wśród moich mgieł niczym statek widmo, przy sączeniu coraz zimniejszej herbaty, a już dzisiaj naciągnąłem na ciebie białą suknię, idealnie odpowiednią dla tak młodej istoty jak ty, i, jak przystało na człowieka w gorączce, zaniósłem na rękach niczym najcenniejszą zdobycz przed ołtarz najświętszy, by móc wyrzucić z fałszywych wnętrzości słowa rozżarzone gorączką, że cię nie opuszczę. A potem już, z oczami wypchanymi ze światła przyszłością, zwołując ferajnę suto nakrapianą Judaszami ruszyłem do weselenia się na weselu. I w tańcach gubiłem rozsadzającą radość, i w wódce topiłem nadmiary nie ludzkiej miłości do ciebie, po to, aby móc urodzić się na nowo, dojrzeć jak płód w swych płynach i płasach, by wyrzeć wreszcie z łona i swoim pierwszym wrzaskiem zapowiedzieć rychłe zmiany. I w tan, i w śmiech, przez wódki dech do oczepin ludzką lokomotywą. By gubić welon i krawatem spętać lubieżne ręce nienarodzonego. By przedrzeć się przez kicz, dozwolony prawami moralnymi w tę noc magiczną, huczny start, po którym noc poślubna przy świadkach – a jakże, tylko taka!, tylko taką chcemy, niech widzą, bo bez tego wszystko nieważne. Prześcieradło z częścią ciebie będzie moim sztandarem! W lubieżnych oczach będę zapisywał siebie, gdy raz po raz, od poślubnej nocy aż po świata kres będę łamał twoje niezycie. Będziemy płakać i śmiać się, krzyzczeć i szeptać – będziemy nieśmiertelne wydawać dzieci, my, nieśmiertelni. Ja i ty, przy mężu swoim, poddana mi moja pani.

I przebrzmiała północ, ta kapryśna wróżka, co po zniknięciu zostawiła po sobie czar będący jak perfum damy, która już odeszła. A potem tan, znowu w płasy, by zobaczyć Tobiasza, który ścisnął twe łono i śmiał się, aż mnie z pomocą swoich tysiąca oczu z tysiąca głów hipnozą odebrał nektar i ambrosję z mojego talerza. Niech będzie przeklęta północ! Godzina szaleńców, ona to sprawiła, wybijając w moim sercu, żeś się stała otwartą dla wszystkich księgą z okładką z twoich nóg. Patrzyłem i gorzej od Tomasza nie wierzyłem, że to ty. Dotykałem i cofałem rękę, słuchałem paznokci na tablicy, widziałem tylko popsute ciało, czułem zgniliznę, bałem się smakować. Tłukłem okradzione talerze wzdychające do dotyku boskości by odegnąć złego ducha. Wybiegłaś. I wszyscy poszli za tobą czarnym korowodem z uśmiechami ukrytymi za woalkami, kołnierzami.

Biegłem za tobą z wzrokiem wpatrzonym w horyzont, gdzie koniec – taki jest porządek rzeczy, bo moją duszę szły Wyspiański, Smarzewski, Lars von Trier. Patrzyłem jak wypychasz wnętrzości ryżem ukrytym dotąd najpierw pod uschlłym wiankiem, potem pod niechcianym czepkiem. Myślałem tylko o wstydzie przed księżycem, moim najznamienitszym gościu. O tym, żeby nakryć cię zapomnieniem jak płachtą nieboszczyka. O jutrzejszym dniu, który wywiezie cię do kostnicy, a potem do nieplakanego grobu.

Zastanawiałem się, kto jeszcze będzie o tobie kłamał; kto będzie wił się przed tobą; kto uderzy batem; a kto okrzyknie bogiem albo zaludni bogami. Krzyknąłem za tobą, nie wiem, czy słyszałaś, czy mogłaś słyszeć swoim pustym ciałem – świątynią przeszłości. Odwróciłaś się jednak, by wprawić w ruch moją rękę. Wciągnąłem elastyczne monety, gotowe do zamknięcia ci oczu. Leżąc odbijałaś w nich blask księżyca, niemego świadka z wyrozumiałością świadczącego przed pustką, że zatoczyłem krąg, ja, konik na karuzeli.